

WYWIAD Z PROFESOREM MICHAŁEM BALICKIM

*Przeprowadzony 19 kwietnia 2017 roku
przez prof. dr hab. Agatę Cudowską*

Agata Cudowska: *Witam serdecznie Pana Profesora, jest mi niezmiernie miło, że zgodził się Pan Profesor na spotkanie i rozmowę. W związku z jubileuszem czterdziestolecia naszego Wydziału chciałabym zapytać, jak Pan Profesor wspomina swoje lata pracy na Wydziale?*

Michał Balicki: Byłem tym, który zarządzał Wydziałem w latach 1981–1987, czyli przez dwie pełne kadencje. Ja w osiemdziesiątym roku się habilitowałem i w osiemdziesiątym pierwszym roku ludzie zażyczyli sobie, żebym kierował Wydziałem. Były to czasy burzy i naporu, eksplodowała Solidarność, w związku z tym wybory były inne niż poprzednie, które miały charakter sformalizowany. Wtedy po raz pierwszy wybierali swoje władze wszyscy pracownicy, którzy zebrali się w sali 05 i zostałem wybrany, uzyskałem największą liczbę głosów. Nie powiem, że bez oporów, chciałem po habilitacji trochę odzyskać psychiczną równowagę, ponieważ był to duży wysiłek. Mówiłem, że są tu koledzy bardziej doświadczeni, z dłuższym stażem, że ja jeszcze zdążę w swojej biografii naukowo-dydaktycznej tę funkcję pełnić, ale nie było posłuchu. Przewodniczący zarządził przerwę i zaczęła się tzw. „obróbka”, to znaczy zaproszono mnie na spotkanie z przedstawicielami Związku Nauczycielstwa Polskiego i zaczęto mnie przekonywać. Ja nie powiedziałem „tak” i jak wyszedłem ze spotkania zaraz drugi związek Solidarność się włączył, choć ja nie byłem członkiem Solidarności. Trwałem mimo to w takim wewnętrznym uporze, że jednak „nie”. Ale pomyślałem, że może moja postawa będzie odebrana jako zarozumiałstwo i wywyższanie się, dlatego ostatecznie po wznowieniu zebrania wyraziłem zgodę na objęcie funkcji dziekana. Było co prawda jeszcze dwóch kandydatów, ale ja dostałem dziewięćdziesiąt parę głosów, a tamci śladowo. Zarządzanie w tej pierwszej kadencji, kiedy ogłoszono stan wojenny, było przeżyciem traumatycznym, obok oczywiście ewidentnej satysfakcji, przyjemności, ale to przypominało właśnie zachowania dzisiejszej opozycji. O naszym Wydziale mówiono, że tu jest „beton”, egzekutywa szalała, ale ja nie jestem takim pokornym, nie krzywdziłem ludzi. A jeszcze od razu po wyborze mnie na dziekana, na tym samym zebraniu zaproponowano, żeby wybrać od razu prodziekanów, ale ja nie byłem na to przygotowany, nie przemyślałem



Profesor Agata Cudowska i Profesor Michał Balicki

sobie tego i dostaję na kartkach deklaracje osób chętnych. I rzeczywiście wskazałem dwie osoby, wtedy było dwóch prodziekanów, samodzielnego pracownika i panią, która miała bardzo dobry kontakt ze studentami, co było szczególnie ważne w tym trudnym okresie, kiedy była potrzeba mitygowania studentów, doradzania im. I zacząłem funkcjonowanie jako dziekan. Jako dziekan w czasie stanu wojennego za punkt honoru postawiłem sobie ochronę ludzi i rzeczywiście ja się przygotowywałem, miałem na karteczkach *dossier* każdego, temat pracy, publikacje i co się okazało, że ci bezpartyjni byli lepiej zaawansowani w przygotowaniu kolejnych etapów rozprawy i tak dalej. Miałem poważny kłopot ze swoją zastępczynią, którą chciano zwolnić i mnie ci wojskowi komisarze szarpali, żeby pod byle pretekstem zwolnić i oświadczyłem im: „Panowie ja nie będę ‘miotłą żelazną’, przy pomocy której chcecie swoje brudy czyścić. Nie zawałiła mi ani jednej sprawy, ma bardzo dobry kontakt ze studentami, to jak ja mogę wnioskować, czy naciskać, żeby zrezygnowała”. Mnie także próbowano oskarżać, egzekutywa podstawowej organizacji partyjnej zarzucała, że zostałem wybrany na dziekana przez Solidarność, ale było to bezpodstawne, bo istniały dokumenty zaświadczające, że zostałem wybrany przez ogół pracowników. Przyjechał także rektor z Warszawy i oświadczył, że na Wydziale nie może być żadnej dwuwładzy, a władzę sprawuje dziekan. Wydział nie miał charakteru akademickiego, przygotowywano raczej do pracy zawodowej, działka badawcza, naukowa w zasadzie nie była uprawiana, *gros* pracowników to byli wykładowcy ze Studium Nauczycielskiego z Białegostoku i parę osób przyjeżdżało z Warszawy, niekoniecznie z Uniwersytetu, jako wspomaganie. Wcześniej Wydział w zasadzie nie istniał, był częścią Wydziału Humanistycznego, w ramach którego działały dwie sekcje – pedagogika i psychologia, ogół pracowników był skupiony w Zakładzie Pedagogiki i w Zakła-

dzie Psychologii. Nie było zatem żadnej strukturyzacji, to przyszło później. Oczywiście nie było kadry *stricte* naukowej, jedynym pracownikiem z doktoratem był starszy pan, specjalista od nauczania początkowego, który wkrótce odszedł na emeryturę. Ludzie byli przeciążeni pracą, bo trzeba było wszystko od początku organizować, główny wysiłek był skierowany na jakąś pracę naukową, na uzyskanie co najmniej doktoratu, ludzie musieli jeździć, tu na miejscu nie było mistrzów, nie było ani jednego profesora. Jak ja tu przyszedłem do pracy w 1971 roku to był na Wydziale jeden docent tzw. „marcowy”, z awansów społecznych i on akurat wtedy odszedł i został tylko prodziekan, magister. Część osób znałem także ze studiów w Warszawie, ponadto siedem lat (1964–1971) przepracowałem w Studium Nauczycielskim w Elku, byłem wykładowcą i zastępcą dyrektora przez ostatnie trzy lata. Ludzie na Wydziale byli bardzo pracowici, specjaliści, bo w SN-ach kadra była jednak dobierana, mieli doświadczenie pedagogiczne, metodyczne i atmosfera była bardzo sympatyczna. Ja zacząłem robić doktorat, obroniłem go w 1975 roku, a w 1979 roku miałem już zatwierdzoną habilitację. Kiedy zostałem dziekanem, to jeszcze nie mogliśmy pozyskiwać nowych pracowników spośród swoich absolwentów, bo to były studia trzyletnie praktyczne, żadnych naukowych badań nie było i mało kto tego oczekiwał, co najwyżej na rzecz doktoratów. Jeżeli chodzi o zasoby finansowe, to za dużo ich nie było, bo to była filia, to tylko z Uniwersytetu Warszawskiego tyle co na płace. Kiedy odchodziłem z SN-u, to przywiozłem bogaty księgozbiór do biblioteki, ale tu był bałagan, nie było komu tego przyjąć. Przywiozłem też na Wydział wiele pomocy naukowych, które miałem w swoim gabinecie w SN-ie i złożyłem to jako darowiznę, choć wyglądało na to, że to nikogo nie interesuje. Cała baza materialna Wydziału to był ten budynek, były tylko krzesła i tablice. Za mojej kadencji przystąpiliśmy do organizowania biblioteki, zatrudniliśmy Panią Śliwińską, bardzo dobra organizatorka, operatywna, jeździła na targi książki, zdobywałem fundusze i tak się zaczęło, to był początek i do dzisiaj jest biblioteka. Zaczęliśmy też pracować nad strukturą Wydziału, kiedy dwóch kolegów się wyhabilitowało, m.in. Profesor Januszek się tym zajmował. Ja zostałem później, po odbyciu dwóch kadencji dziekańskich, dyrektorem Instytutu Pedagogiki. To był taki twór, który nie bardzo wiadomo, czym się miał zająć. Ja szukałem takich pól, bo uważałem, że powinien się zajmować sprawą nauki, działalności naukowej i razem z kolegą Profesorem Januszkiem ześmy obmyślili strukturę Wydziału, podstawowe jednostki to zakłady i pracownie co najwyżej, później w latach dziewięćdziesiątych pojawiły się katedry. Przystudiowałem wtedy liczne regulacje prawne i się zorientowałem, że struktura instytutowa to raczej ze Związku Radzieckiego. Kierunki kształcenia z tamtego okresu istnieją do dzisiaj, tworzyłem zespoły ludzi zajmujących się daną problematyką, ponadto robiłem coś, co nazywałem „wernisaże naukowe”, przedstawialiśmy różnych ludzi, co najmniej adiunktów, ich dorobek, zainteresowania, to było bardzo dobrze przyjęte. Pamiętam Profesor Czaina, Profesor Dziekanowski, wtedy doktorzy oczywiście, przedstawiali, tutaj filozof, tam estetyk i jeszcze inni, i potem to jakoś „śmiercią naturalną” wygasło, ponieważ się zorientowałem, że w kręgu dziekańskim, to nie było dobrze widziane, bo mówiono, że „władza jest u nas”, no zachłysnęli się władzą. Celem Wydziału w tym okresie było uzyskiwanie kwalifikacji akademickich, powoli zaczęliśmy się dora-

biać samodzielnych pracowników naukowych. Niektóre zakłady były już obsadzone przez samodzielnych pracowników. Na psychologii był Profesor Zabielski, ale on nie chciał kierować, zatrudniłem więc psychologa z Gdańska, Profesora Sanockiego, bardzo dobrego specjalistę od testów, zorganizował on konferencję naukową i chciałem mu stworzyć jakieś miejsce pracy, gdzie mógłby przyjmować kolegów także z innych jednostek, jakie ja miałem z tego powodu awantury, pretensje, że ja go wyposażam i w efekcie odszedł z Wydziału. Nawet koledzy dziekani z innych wydziałów mi współczuli z powodu tej sytuacji. Dobrnąłem do końca pierwszej kadencji i zostałem wybrany na drugą, chociaż zbytnio o nią nie zabiegałem.

Co udało się Panu Profesorowi osiągnąć w drugiej kadencji dziekańskiej?

W drugiej kadencji główna uwaga była zwrócona na finalizowanie doktoratów i na nauczanie początkowe, i na pedagogikę kulturalno-oświatową, i na pozostałe specjalności. Adiunkci byli bardzo przedsiębiorczy, jeździli na konferencje i nawet podejmowali próby organizowania konferencji pod kierunkiem samodzielnego pracownika. Bardzo istotne było nawiązywanie współpracy czy wymiany, może nie tyle naukowej, co dydaktycznej, ale były tam już elementy naukowe, m.in. z Wyższą Szkołą Pedagogiczną w Hale i z Uniwersytetem Humboldta z Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Zainicjowana przeze mnie wymiana trwała ponad dziesięć lat. Poza tym sporadycznie mieliśmy kontakty z Grodnem. Tam powstał Uniwersytet, najpierw to była szkoła pedagogiczna, byłem zresztą na otwarciu tego Uniwersytetu. Ponadto w czasie mojej drugiej kadencji formalnie powstał Wydział, struktura i, jak mówiłem, pracowałem nad tą strukturą z Profesorem Januszkim. Mieliśmy zresztą odpowiedniki w Uniwersytecie Warszawskim na Wydziale Pedagogicznym. Mało tego, przez dwie kadencje jeździłem na senat, bo tutaj nie było senatu, była tylko Rada Filii, taka namiastka, ale Wydział miał już strukturę akademicką, była Rada Wydziału z przedstawicielami różnych kategorii pracowniczych. Staralem się zorganizować praktykę pedagogiczną, ponieważ sam wdrażałem kształcenie praktyczne w Studium Nauczycielskim, gdzie byłem kierownikiem Zakładu Praktyk Pedagogicznych. Pracując już na Wydziale, stworzyłem Międzywydziałowy Zakład Praktyk Pedagogicznych i Zawodowych, żeby nie było przerostu teoretyzowania na pedagogice i czystego werbalizmu, ale to „szło jak po grudzie”, dlatego że to czasochłonne i w świadomości pracowników nie tylko na Wydziale, ale i w całym Uniwersytecie, było zakorzenione przekonanie, że jak jest jakaś struktura akademicka, to ma ludzi. A jakich ludzi ja tu mogłem mieć, byłem sam jako kierownik, natomiast na poszczególnych wydziałach byli pracownicy od poszczególnych sekcji przedmiotowych, a oni nie chcieli być członkami tego Zakładu, bo należeli do swoich jednostek organizacyjnych. Jednak wypracowałem jakieś fundamenty praktyk, typu instrukcje, terminy, miejsca odbywania i tak dalej, to wszystko wymagało niesamowitej energii, bo pieniędzy nie było. Uważałem, że tak jak w SN-ie, taka jednostka powinna mieć swoje szkoły ćwiczeń, że pracownicy z tych szkół mogliby prowadzić jakieś zajęcia praktyczne i metodyczne na Wydziale, ale nie było zrozumienia dla tej inicjatywy na Wydziale i tak się to jakoś rozeszło, nie widziałem, żeby ktoś to doskonalił, optymalizował. Uważam to jednak za bardzo ważne na takim Wydziale. Ponadto nie było za dużo pracowników, bo cią-

gle nie było pieniędzy na etaty i zdawałem sobie sprawę z przemęczenia ludzi, ogromne pensa do realizacji plus ta praca własna, nad sobą, a pod koniec lat osiemdziesiątych zaczyna się już wieloletowość, możliwość dorobienia w uczelniach niepublicznych. Od 1985 roku kierowałem Zakładem Pedagogiki Społecznej, z którego wyszli samodzielni pracownicy naukowcy, w wyniku czego powstały dwa nowe Zakłady Edukacji Międzykulturowej i nowy Zakład Pedagogiki Społecznej, a dotychczasowy został przemianowany na Zakład Pedagogiki Porównawczej i kierowałem nim do przejścia na emeryturę, czyli do 2009 roku.

Bardzo dziękuję Panu Profesorowi za tę część wypowiedzi, niezmiernie interesującą i bogatą, odślanającą wiele wątków i uwarunkowań, z którymi trzeba było się zmagać. Mam jeszcze jedno pytanie, które związane jest bardziej z doświadczeniem Pana Profesora jako naukowca. Chciałabym się dowiedzieć, czy Pana zdaniem bycia naukowcem można się nauczyć i co radziłby Pan Profesor młodym pedagogom u progu ich naukowej kariery?

Sprawa nie jest prosta. To dotyczy wszystkich profesji, oczywiście jakieś predyspozycje trzeba mieć, kierunkowe uzdolnienia i praca nad sobą, motywacja. Ktoś powiedział, że nawet geniusz to jeden procent polotu a dziewięćdziesiąt dziewięć procent potu. Oczywiście także warunki, otoczenie, potrzebny jest mistrz. Tu akurat brakowało, myśmy tu mistrzów prawie żadnych nie mieli, mówię oczywiście o swoim pokoleniu i to wymagało dużo czasu i wysiłku, żeby tworzyć jakieś struktury na serio. Dzisiaj, w czasach współczesnych ta motywacja naukowców jest inna, to etos nauki, naukowca, mistrz, prestiż wysoki. Chciałoby się, żeby przyciągać do tego zawodu, do tej pracy najlepszych, najwybitniejszych, ale to różnie bywa, bo ludzie się orientują, że kariera w tej profesji jest bardzo trudna i wcale nie są takie jasne ścieżki, różne czynniki przecież decydują o sukcesie albo porażce, jeżeli chodzi o ekwiwalent pieniężny, wynagrodzenie, też powiedzmy – jest marny. Wielu młodych ludzi woli pracować w przemyśle, dlatego ktoś złośliwy powiedział, że dobrze jeżeli do nauki uda się przyciągnąć nie tylko najlepszych i najzdolniejszych, ale w miarę inteligentnych i ponadprzeciętnych. Ja myślę, że takim dobrym „przedszkolem”, jeżeli chodzi o pozyskiwanie i karierę naukową, są koła naukowe, zespół, ale to nie może być tylko tak biurokratycznie, bo moda, powinno być autentyczne, to mają być zapaleńcy, którzy się czymś interesują i oczywiście ten, który nimi kieruje, musi bardzo dużo czasu inwestować, pomagać, to wtedy jest dobra droga. Okazuje się, że tak zwana „hodowla doktorów”, na przykład studia doktoranckie, to nie zdało egzaminu. Sprawność kształcenia na tych studiach trzeciego stopnia była bardzo niska, zanim jeszcze pojawiła się ta dyspozycja unijna, to one już były. Mój kolega, nieżyjący już Profesor Kruszewski z UW [Uniwersytetu Warszawskiego – A.C.], był szefem Studium Doktoranckiego, mówił mi, że robił wszystko, żeby zlikwidować, bo to forma nieskuteczna. Raz, że status nijaki, ludzie po studiach mają często rodziny, wynagrodzenie to niby jakieś stypendium, za które przeżyć nie można, a gdzie prowadzić badania? To takie zawieszenie w próżni, korzystniejsze jest budowanie zespołu z osób zatrudnionych, ludzie ci mają jakieś doświadczenie, autentyczną motywację. Ponadto obserwujemy takie zjawisko, w naszym kraju i na świecie, pogoń nie tyle za wiedzą, co za dyplomem. Posiadanie dyplomu czasami, w niektórych dziedzinach otwiera możliwości, jak

chodzi o stanowiska, o ekwiwalent finansowy za pracę, ale nie zawsze. Teoria kredencjalizmu mówi bowiem, że przy masowym kształceniu na poziomie wyższym dyplomy się dewaluują, ale to nie jest takie proste, bo dzisiaj przeciętna stopa skolaryzacji na poziomie wyższym to jest czterdzieści procent, czterdzieści procent rocznika aspiruje i dostaje się na studia wyższe, ale nie ma selekcji, świadectwo maturalne też nie odzwierciedla autentycznych możliwości czy jakichś uzdolnień. Masowość powoduje spadek prestiżu, to osoby z klas bogatszych wtedy idą na studia doktorskie albo na bardziej prestiżowe uczelnie typu Oxford, a nawet prywatne, które mają wyższy status w społeczeństwie. Dewaluacja dyplomów jest faktem, stąd właśnie ta kariera naukowa, dostęp do dochodów, stanowisk, do wyższego statusu społecznego jest dziś pod znakiem zapytania. Co prawda w globalnym społeczeństwie wiedzy potrzeba coraz więcej ludzi wykształconych, komunikujących się w językach obcych. Wydaje mi się, że jednak warto obserwować młodych ludzi i wybierać, są przecież parametry ilościowe: średnia z przebiegu studiów, praca magisterska, opinia promotora i inne doświadczenia, jak na przykład w kole naukowym. Są młodzi ludzie, którzy mają publikacje już na studiach, o takich gdyby się udało przekonać i pozyskać! Ale w nowoczesnych uniwersytetach odchodzi się od etatyzmu na rzecz zatrudnienia na kontrakcie, w uniwersytetach amerykańskich i angielskich nawet samodzielny pracownik naukowy zatrudniany jest na kontrakcie, na czas określony. Myślę, że tego nie unikniemy, ale to nie za szybko, to musi potrwać. To nie jest takie proste, ktoś napisał, że na współczesnych uniwersytetach panuje epidemia „punktozy”, „ankietozoy” i jeszcze jakieś inne. Musi być tak zwany „kontroling”, ale racjonalny, nie tylko biurokratyczny. Mnie się wydaje, że kierunek funkcjonowania wydziałów akademickich, uniwersytetów to jest jakość i to jakość specyficzna, uzyskana nie poprzez wzrost nakładów, bo to trudne, Polska nie jest krajem bogatym i długo nie będzie, ale poprzez optymalizację struktur, poprzez relacje poprawne student – nauczyciel akademicki, poprzez trafny dobór metod kształcenia i tak dalej. Może optymalizacja czasu kształcenia, może cztery lata, a może sześć lat, nie chodzi o to, żeby „wtłoczyć” jak najwięcej wiedzy, ale żeby tworzyć struktury wiedzy, żeby człowiek rozumiał świat. To są te wyzwania, które stoją przed takim wydziałem uniwersyteckim jak nasz.

Dziękuję bardzo Panu Profesorowi za rozmowę.

Białystok, 19 kwietnia 2017 roku